ŚWIAT i ŻYCIE

Ilustrowany dodatek tygodniowy „DZIENNIKA ZACHODNIEGO"

Katowice, 29 lutego 1948 - Rok III

Nr 9

Przyszła znowu zima...

Nieoczekiwanie, wprost zdradziecko, gdyśmy patrząc na nabrzmiewające pąki drzew, myśleli już o wiośnie, przyszła znów z powrotem zima, wraz ze wszystkimi swymi akcesoriami, mrozem i zwałami śniegu. Pokryły się puchem śnieżnym zielone, coraz bardziej w górę dźwigające się oziminy, przygięły się pod niespodziewanym ciężarem gałęzie drzew. Skrząca w lutowym słońcu biel zakryła szczelnie pola i góry, niecąc radość w sercach wszystkich narciarzy. Nabrały życia i rozmachu wszystkie nasze ośrodki sportów zimowych: Zakopane, Wisła, Karkonosze.

Fragmenty z Karpacza, w którym odbyły się ostatnio XXIII Narciarskie Mistrzostwa Polski, przedstawiają reprodukowane tu zdjęcia.

Foto Cz. Datka, „Dziennik Zachodni"

Kazimierz Gołba

Wiosna śląskiego odrodzenia

Głód i jego protektorzy

Rok 1848 zaczął się na Górnym Śląsku pod znakiem niebywałej klęski. Nieurodzaj kilku lat, a zwłaszcza ostatniego roku, który dotknął przede wszystkim ziemniaki, główne pożywienie pańszczyźnianej ludności wiejskiej, spowodował wielki głód już w miesiącach zimowych. **Z głodem sprzymierzyła się zaraza, którą określano jako tyfus głodowy. Ludzie marli tysiącami. W samym tylko powiecie pszczyńskim, liczącym wówczas 69.000 mieszkańców, zmarło do końca 1847 r. 1.000 osób z głodu, a 7.000 na tyfus.** Lekarz polski z Krakowa, Władysław Wężyk, który niósł pomoc chorym, sam padł ofiarą zarazy. W Raciborzu zmarła połowa lekarzy, a władze pruskie zabroniły innym przyjeżdżać na ten teren. Przepisy sanitarne rozklejano po wsiach w języku niemieckim, którego nikt nie rozumiał. Tu ujawniła się jaskrawo przepaść między rządem a ludem. Nic dziwnego, że w niektórych powiatach nie było rodziny śląskiej, która by nie poniosła ofiar. **Ogółem pokos śmierci tej strasznej zimy wyniósł 50.000 zgonów na terenie regencji opolskiej. 10 tys. sierot pozostało z tych ciężkich dni, ale z tych nawet nie udało się wszystkich utrzymać przy życiu.**

Klęska głodu spadła wyłącznie na polską ludność wiejską. Zagrodnicy zadłużyć się musieli we dworach, a nie mogąc spłacić długu, tracili prawo używalności gruntu i podlegali wysiedleniu. Ziemianie pruscy, chcąc rozładować wzbierającą nienawiść poddanych, starali się ją przerzucić — na polskich księży. Tłumaczyli ludowi, że księża przekląwszy wódkę, przeklęli także — ziemniaki.

Akcja ta wymierzona została przeciwko Towarzystwu Wstrzemięźliwości, jedynej organizacji, skupiającej od kilku lat rzesze ludu polskiego, którą założył proboszcz piekarski, ks. Jan Alojzy Ficek, wychowanek Akademii Krakowskiej. Towarzystwo to wypowiedziało walkę pijaństwu, szerzonemu przez niemieckich dziedziców, którym liczne karczmy (jedna przypadała na 282 głowy, przy spożyciu 15 kwart gorzałki na głowę!) dawały olbrzymie zyski. Skutki zorganizowanej wstrzemięźliwości odczuli dotkliwie dziedzice pruscy na swoich kieszeniach. Nic też dziwnego, że ubytek rąk roboczych, wywołany śmiertelnością i wysiedleniem zadłużonych, wyrównano teraz osadzaniem na ich miejscu nowych, obcego pochodzenia. scu nowych, obcego pochodzenia, karczmarzy.

Głód, zaraza, wódka — obraz rozpaczliwy... Obezwładniono w ten sposób lud wiejski na Śląsku, **ten sam, który w latach 1766—1811 sześciokrotnie zrywał się do buntów przeciwko prusk. panom. Dlatego też powiew wolności, idący z „Wiosną Ludów", zastał wieś śląską obumarłą, niezdolną do żadnych poczynań, choć tu właśnie więcej być mogło materiału palnego**, niż w Poznańskiem, gdzie pańszczyznę zniesiono (jak zresztą w całym państwie pruskim z wyjątkiem regencji opolskiej) już w roku 1823.

Pozostały miasta śląskie. Infiltracja żywiołu niemieckiego była tam znaczna; pionierzy niemczyzny mieli inne cele wśród ludności miejscowej, niż buntowanie się przeciw absolutyzmowi Św. Przymierza, który był im na rękę. Liberalne prądy, nurtujące w Niemczech, sięgały jedynie po Wrocław. Ale nawet we Wrocławiu ruchy rewolucyjne odbijały się bardzo słabo. Na wieść o wypadkach w Berlinie wystawiono tam jedynie gwardię narodową, która zresztą nie odegrała czynnej roli.



Ks. Jan Alojzy Ficek, proboszcz piekarski, założyciel Tow. Wstrzemięźliwości, jedynej ówczesnej organizacji na Śląsku, skupiającej lud polski.

Rozruchy w Bytomiu

Na tym tle szczególnej wagi nabierają wypadki, które w tym czasie poczęły się rozgrywać w Bytomiu. Genezę ich okrywa jeszcze mrok historii, nie prześwietlony dotąd przez badaczy. Dlatego **nie podobna dotychczas wyjaśnić źródłowo zajść bytomskich z 10 czy też 11 marca 1848 r. Uderza przede wszystkim okoliczność, że wyprzedziły one o osiem dni Berlin, a o dziesięć Monachium.** Istnieją więc dwie możliwości: albo rozruchy w Bytomiu wywołały czynniki miejscowe samorzutnie, albo były one dziełem rewolucjonistów, przybyłych tu z Zachodu, (może nawet przy współudziale emisariuszy Stowarzyszenia Ludu Polskiego), którzy nie czekając na hasło z Berlina, podjęli walkę z absolutyzmem pruskim w centrum zagłębia przemysłowego, wciśniętego między Austrię a Rosję, licząc na poparcie robotników. Ta druga ewentualność jest bardziej prawdopodobna ze względu na to, że charakter rozruchów **był wybitnie socjalny.**

Według znanej nam relacji 10 względnie 11 marca pojawili się na rynku „powstańcy", prawdopodobnie przybysze zamiejscowi, którzy ukrywali się w sąsiednich domach. **Zaczęli oni wznosić okrzyki przeciwko ogólnemu uciskowi, domagając się zrównania w prawach z warstwą uprzywilejowaną.** Bytom był wówczas małym miastem, liczącym 4.000 mieszkańców. Nic więc dziwnego, że wieść o tym, co dzieje się

Ks. Józef Szafranek, „czerwony farosz", przywódca polskiego ruchu narodowego na Śląsku.

na rynku, obiegła wszystkich i kto żyw, podążył przyjrzeć się temu niezwykłemu widowisku. Sądzić należy, że zapał manifestantów porwał za sobą przynajmniej część ludności Bytomia. **Jednocześnie zawiadomił ktoś górników na kopalni w Szarleju, którzy niezwłocznie porzucili pracę i w roboczych ubraniach, z kilofami na ramionach, zwartą gromadą przymaszerowali do Bytomia.** Przybycie tak poważnej siły — a Niemców wśród górników nie było! — zaniepokoiło komendanta miejscowego garnizonu pruskiego, który dał rozkaz szwadronowi huzarów, by szarżą rozpędził zgromadzone tłumy. Huzarzy uderzyli istotnie z ulicy Gliwickiej i wyparli manifestantów z rynku na sąsiednie ulice. Wielu z nich rozbiegło się i rozproszyło po domach.

Uderza w tej relacji brak jakichkolwiek nazwisk działaczy, którzy już w najbliższych miesiącach uczynią z Bytomia ośrodek narodowego i politycznego ruchu polskiego na Śląsku.

Prasa a wybory

Tymczasem wybuchły rozruchy w Berlinie. Król Fryderyk - Wilhelm IV, przerażony niedawnym upadkiem Ludwika - Filipa we Francji i świeżymi wieściami z Wiednia, nie odważył się podjąć walki z tłumem i 18 marca przyrzekł nadać Prusom konstytucję i zwołać Zgromadzenie Narodowe.

W następstwie tego w całym państwie pruskim rozpoczęto agitację przedwyborczą. **Na Śląsku**

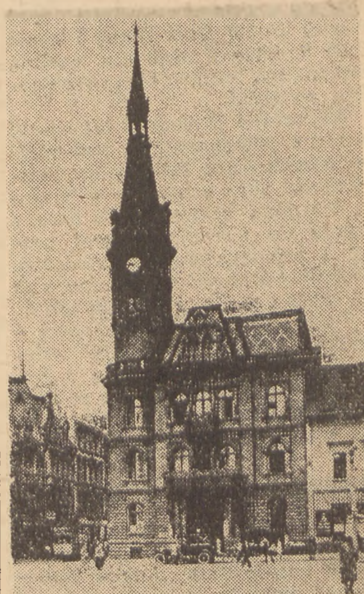


Józef Lompa, jeden z najwybitniejszych budzicieli polskości na Śląsku

powstał klub polityczny polski o charakterze narodowym i demokratycznym. Rozwinęła się niezwykle prasa polska, której dotąd prawie nie było. W Bytomiu zaczyna wychodzić „Dziennik Górnośląski", redagowany przez emigrantów z Krakowa: **Józefa Łepkowskiego i Mierowskiego przy współpracy nauczyciela śląsk. i pisarza Józefa Lompy.** Pierwszym wydawcą „Dziennika" był Teodor Heneczek, pochodzący z Częstochowy, który założył w Piekarach polską drukarnię, odpowiednią do tych celów. Nauczyciel ewangelicki w Pszczynie, Krystian Schemmel, którego „Tygodnik Polski", wychodzący od 1842 r., upadł, zaczął wydawać teraz „Tygodnik Górnośląski". Sam Lompa zaczął redagować w Oleśnie „Telegraf, tygodnik dla polepszenia wyćwiczenia i wynauczenia ludu". Ks. Ficek, wznawiając propagandę wstrzemięźliwości, podjął w Piekarach wydawanie „Tygodnika Katolickiego" i „Listów Mariańskich".

Pojawienie się na terenie Śląska polskich emigrantów politycznych od r. 1831 mogło wesprzeć budzącą się świadomość narodową wśród ludu śląskiego, niemniej jednak ruch ten był samorodny i czekał tylko na rodzimych przywódców i sprzyjającą chwilę, by, jak woda zaskórna, wydobyć się na powierzchnię.

Dnia 8 maja wybrany został w powiecie wyborczym bytomskim posłem do Zgromadzenia Narodowego w Berlinie, 41-letni proboszcz bytomski, ks. Józef Szafranek. Jednocześnie w powiecie oleśnieńskim wybrano rolnika Gorzołkę, a w rejonie Mysłowic rolnika Mildnera z Janowa. Przepadł natomiast niestrudzony i ofiarny obrońca praw języka polskiego na Śląsku, Karol Kosicki, dlatego tylko, że należał do szlachty.



Wylot ulicy Gliwickiej w Bytomiu, miejsce szarży huzarów w 1848 r. (Zdjęcie sprzed wojny.)

Działalność ks. Szafranka

Ks. poseł Szafranek stał się od razu przywódcą polskiego ruchu narodowego na Śląsku i zgrupował przy sobie wszystkich jego pionierów: Lompę, Kosickiego, Łepkowskiego, nauczyciela Smołkę i innych. Oni to zwołali do Bytomia na dzień 13 czerwca zjazd delegatów 200 gmin śląskich, reprezentujących pół miliona ludzi, celem uchwalenia petycji, którą miał ks. Szafranek przedłożyć Zgromadzeniu w Berlinie. Zjazd ten, będący właściwie sejmikiem całej dzielnicy, jest szczytowym wydarzeniem „Wiosny Ludów" na Śląsku, nie mającym wówczas żadnego odpowiednika na terenie wszystkich ziem polskich.

Zjazd bytomski uchwalił zażądać od Zgromadzenia Narodowego pełnego równouprawnienia dla języka polskiego na Śląsku w szkołach, urzędach i sądach. — Wszelkie zarządzenia władz, ustawy, nawet protokoły Zgromadzenia winny być ogłaszane również w polskim tłumaczeniu. Nauka języka polskiego winna objąć również szkolnictwo średnie na Śląsku, zwłaszcza seminaria nauczycielskie, a także oprzeć się o katedrę uniwersytecką we Wrocławiu. Domagano się wreszcie, by



Ks. Bernard Bogedaine, radca szkolny regencji opolskiej, gorliwy obrońca polskości Śląska.

(Dokończenie na str. 3)

Wszystkie zdjęcia Arch. fot. „Dziennika Zachodn."

Dr Jerzy Barski

Próby z surowicą Bohomolca

Czy będziemy dłużej żyli?

Dużo się mówi ostatnio we Francji o **„surowicy Bohomolca" która ma posiadać właściwość przezwyciężania starości i przedłużania życia ludzkiego.** Niedawno obiegała Paryż wiadomość — podana przez jeden z popularnych tygodników, że lekarze francuscy w pewnym wielkim szpitalu paryskim zastosowali tę surowicę kilkudziesięciu osobom i otrzymali wyniki, potwierdzające dane sowieckiego uczonego.

Jak wiadomo, **teoria Bohomolca o możliwości przedłużania życia ludzkiego (przeciętnie do lat przynajmniej 120!) opiera się na przekonaniu, że taki jest właśnie „normalny" wiek człowieka.** Normę tę otrzymuje się przemnażając okres wzrostu (u ludzi mniej więcej lat 20) przez liczbę 5 względnie 6. Prawo takie ma, według Bohomolca, rządzić długowiecznością zwierząt.

Nie można jeszcze w tej chwili orzec z pewnością, ile jest racji w twierdzeniach Bohomolca. Skuteczność jego surowicy w walce ze starością trudna jest z natury rzeczy do natychmiastowej oceny i wymagałaby doświadczeń, przeprowadzanych na bardzo wielką skalę i w ciągu długich lat.

Poza tym nasze wiadomości o wieku, którego dożywają zwierzęta, są bardzo niepełne i bynajmniej nie ostateczne, a co najważniejsze trudne do podciągnięcia pod jedną regułę.

Badania wieku zwierząt

M. F. Bourliere w ciekawym artykule, zamieszczonym niedawno w czasopiśmie „Annee Biologique" próbuje zebrać pewne i sprawdzone wiadomości, jakimi rozporządza w tej dziedzinie zoologia. Dane Bourliere'a są z tego powodu szczególnie ciekawe, że zmuszają nas do rewizji głęboko zakorzenionych poglądów, które są często zupełnie błędne.

Powszechne jest np. przekonanie, że zwierzęta w niewoli żyją krócej, niż na wolności. Bliższe **obserwacje wykazały, że w wielu wypadkach dzieje się wprost odwrotnie.** W Anglii przeprowadza się od dłuższego już czasu systematyczne obrączkowanie zwierząt. Ptaki chwytane w sidła otrzymują na nogę metalową obrączkę, zaopatrzoną w datę i nazwę miejscowości, po czym wypuszcza się je na wolność. Chwytane po pewnym czasie dostarczają cennych wiadomości. W ten sposób np. ustalono, że **niewielki ptaszek, z czerwonym podgardlem zwany u nas rudzikiem, który żyje w niewoli około 11 lat, ma się na wolności znacznie gorzej; na 100 piskląt wieku 3 miesięcy dożywa zaledwie 28, do roku następnego — 14, a do lat 5 — zaledwie dwoje.**

Inne ptaki dożywają w niewoli wieku rzeczywiście podeszłego. I tak np. **pelikan żyje około 50 lat, orzeł przeszło 40, papuga ara — 35—40 lat, gołąb 50 lat.**

Ciekawą jest rzeczą, że drobne gryzonie, takie jak np. myszy lub szczury, mimo że posiadają podobne do ptaków wymiary i niższą temperaturę ciała, żyją znacznie od nich krócej.

Wiek ssaków

W pewnych tylko granicach sprawdza się zasada, według której wiek zwierzęcia jest proporcjonalny do jego rozmiarów. **Słonie żyją mniej więcej tyle co ludzie. Zdarzają się wśród nich sędziwi staruszkowie o wieku lat 75. Zdarzają się też 50-letnie konie i 47-letnie nosorożce.**

Wieloryb żyje ponoć nie dłużej niż 37—40, a foki do 30 lat.

Przeciętny wiek niedźwiedzia europejskiego ocenia się na lat 16, chociaż w niewoli przekracza często 30-tkę. Żyrafa i wielbłąd żyją 13—15 lat na wolności, a w ogrodach zoologicznych często lat 25—26.

Świnia, bóbr i pies mają granice wieku podobne: przeciętnie około 10 lat, ale czasem dochodzą i do lat 20. Zwierzęta drapieżne mimo dużych różnic w wymiarach ciała mają przeciętną długość życia mniej więcej jednakową: 10 do 20 lat.

Usiłowano powiązać starzenie się zwierząt z psuciem zębów, wynikającymi stąd zaburzeniami w trawieniu i samozatruciem ustroju. Trudno jednak byłoby w takim wypadku wyjaśnić, dlaczego tak wcześnie starzeją się króliki, mimo, że ich uzębienie pozostaje w doskonałym stanie, aż do samej śmierci.

Również i rozpowszechnione przekonanie o tym, że sen zimowy przedłuża życie, nie wydaje się dość uzasadnione. Nie zauważono, aby zwierzęta, mieszkające w krajach zimnych i usypiające zimą, żyły dłużej od swych krewniaków z krajów podzwrotnikowych.

Ryby, gady, płazy

W świecie ryb spotykamy się (ciągle według M. F. Bourliere'a) z wielką rozmaitością wieku, dla której trudno jest rzeczywiście znaleźć wytłumaczenie. **W akwariach spotyka się 50-letnie węgorze i ogromne karpie tego samego mniej więcej wieku. Tak zw. złote rybki nierzadko dożywają lat 30, znacznie od nich większe śledzie lat 18—19, a sardynki zaledwie lat 8.**

Trudno odgadnąć, dlaczego żaby żyją 6 lat, nasze salamandry 24 lata, a salamandry japońskie tyle niemal, ile człowiek, bo lat 55. Rekord długowieczności niepodzielnie przypada gadom.

Pewien żółw, żyjący dotąd w Port Louis, nosi na swej skorupie datę 1795!

A człowiek ?

W odniesieniu do człowieka akta stanu cywilnego dostarczają nam rzecz jasna, danych o wiele dokładniejszych, chociaż pamiętać należy, że próżność skłania niekiedy pewnych staruszków do dodawania sobie wiosen, jeśli nie całych krzyżyków.

W r. 1936 zmarło we Francji 128 osób w wieku powyżej 100 lat.

Przeciętny wiek życia w krajach cywilizowanych stale rośnie. Jest to wynikiem upowszechnienia higieny i wielkiego postępu medycyny. **Statystyka śmiertelności kryje jednak w sobie wiele niespodzianek. Jeśli się jej bliżej przyjrzeć, nie trudno stwierdzić, że największego postępu dokonano w dziedzinie zmniejszenia śmiertelności niemowląt i dzieci.**

Ze statystyk wynika, że noworodek przychodzący na świat w XVIII wieku we Wrocławiu miał przed sobą życie przeciętnie o 18 lat krótsze, aniżeli niemowlę, urodzone w r. 1910 w St. Zjednoczonych. Szanse te jednak zmieniają się zupełnie w wieku dojrzałym. Ta sama statystyka poucza nas, że **człowiek naszych czasów ma wprawdzie więcej danych na to, aby przebrnąć szczęśliwie przez niebezpieczeństwa chorób wieku dziecięcego, natomiast z chwilą gdy dociera już cało do lat 20, ma on przed sobą (przeciętnie) mniej lat życia, niż przodkowie nasi w ubiegłych wiekach.**

Walka z przedwczesnym starzeniem się nigdy więc nie była sprawą bardziej aktualną niż obecnie, w obliczu tego, co odsłania nam statystyka i co wydać się może na pozór paradoksem: **przeciętny wiek życia rośnie, a ludzi starych jest coraz mniej.**

Wiadomości techniczne

NOWE GATUNKI GUMY SYNTETYCZNEJ

Towarzystwo Philips Petroleum Co. w Holandii opracowało metodę produkcji dwóch nowych gatunków gumy syntetycznej. Produkty te otrzymały nazwy Philippine A i Philippine B.

Gatunek A nadaje się specjalnie do wyrobu taśm gumowych, podczas gdy gatunek B wykazuje duże zalety w produkcji izolacji. Koszty produkcji gatunku A nie przewyższają kosztów innych rodzajów gumy syntetycznej, natomiast gatunek D kalkuluje się nieco drożej.

ELEKTRONOWA MASZYNA DO LICZENIA

W „British National Physical Laboratory" w Teddington pod Londynem, prowadzone są prace nad skonstruowaniem nowego typu elektronowej maszyny do liczenia. Maszyna ta dokonywać ma działania z szybkością 1000-krotnie większą od szybkości najnowszych maszyn amerykańskich. W ciągu 1/2000 sekundy wykonać można przy pomocy nowej maszyny mnożenie liczb dziesięciocyfrowych.

Ujarzmiony żywioł

Woda źródłem energii

Zużycie energii elektrycznej wzrasta gwałtownie na całym świecie. Nawet w Europie, zniszczonej ostatnią wojną, powstają coraz to nowe wielkie elektrownie, a całe kraje pokrywają się siecią przewodów elektrycznych. Dowodem tego są np. plany rządu czechosłowackiego, zmierzające do uregulowania gospodarki wodnej tego kraju, przez budowę zapór wodnych i tworzenie wielkich sztucznych jezior. W ten sposób ulegnie zatrzymaniu około trzech miliardów metrów sześc. wody, co pozwoli na produkcję około 2,5 miliarda kilowatów, z roczną produkcją 7 miliardów kilowatgodzin, a zatem więcej energii niż Czechosłowacja produkuje obecnie wszelkimi innymi środkami. Posiadanie tak wielkiej ilości energii elektrycznej pozwoli na wydatną oszczędność węgla, na zelektryfikowanie sieci kolejowej, wreszcie na rozbudowę przemysłu krajowego.

Oświetlenie stanowi obecnie drobny tylko procent zużycia energii elektrycznej, na pierwszy plan wysunęła się ona jako siła motoryczna. Toteż ilość zużytej energii elektrycznej staje się coraz bardziej wskaźnikiem uprzemysłowienia danego kraju.

W przeważnej większości do napędu prądnic służą maszyny parowe, energię więc elektryczną otrzymujemy z ciepła, zawartego w węglu. Nie wszystkie jednak kraje posiadają węgiel, a poza tym wydobywanie i transport węgla staje się coraz kosztowniejsze. Zwrócono się więc do innego źródła energii, praktycznie niewyczerpalnego: do sił wodnych.

ZAKŁADY WODNE

Zakłady wodne najłatwiej urządzić w miejscach, gdzie istnieją naturalne wodospady. Wystarczy bowiem w tym wypadku odprowadzić część wody na odpowiednie maszyny. Większe jednak wodospady są na ogół rzadkością. W Europie spotykamy je w Alpach i Norwegii. W przeważającej ilości wypadków wodospad potrzebny wytwarza się w sposób sztuczny.

Wyjątkowo dogodnymi do urządzenia zakładu wodnego są miejsca, gdzie rzeka robi pętlicę, jak np. koło Myczkowic na Sanie. Przy pomocy 900 m kanału i 230 m tunelu udało się przeciąć pętlicę Sanu na długości 9 km tej rzeki i uzyskać w ten sposób spad około 14 m.

Zapotrzebowanie energii elektrycznej bywa z reguły wysoce zmienne w ciągu doby; staje się ono np. bardzo małe w nocy lub dnie świąteczne, kiedy fabryki nie pracują. Tymczasem przepływ wody bywa w okresie doby normalnie stały, natomiast silnie się zmienia w różnych porach roku. Wynika z tego konieczność utworzenia przy zakładzie wodnym zbiornika, w którym można by wodę zbierać i puszczać na turbiny w miarę potrzeby.

Każdy przeto zakład wodny posiada pewien zbiornik wyrównawczy. Mogą nim być albo małe tzw. dzienne zbiorniki, albo też o wiele pożyteczniejsze wielkie zbiorniki o pojemności kilku lub kilkunastu milionów metrów sześc., zwane sezonowymi. Zbiorniki takie, prawdziwe sztuczne jeziora, pozwalają zbierać wodę w czasie jej nadmiaru, aby ją następnie zużytkować w czasie suszy. W ogóle zbiornik sezonowy pozwala regulować cały przepływ wody w rzece, stosownie do potrzeby zużycia prądu. Ponadto zbiornik taki oddaje nieocenione usługi, zapobiegając zgubnym skutkom powodzi. Tak np. zbudowano w swoim czasie wielki zbiornik na rzece Sole (dopływ górnej Wisły), głównie dla zabezpieczenia od szkód, jakie rzeka ta czyniła w czasie wylewów. Dopiero później pomyślano o wyzyskaniu wód tego zbiornika do wytwarzania energii elektrycznej.

Przeważnie bywa tak, że na jednej rzece powstaje nie jeden tylko zakład, ale cały ich szereg, z których każdy wyzyskuje część spadu rzeki. Oczywiście dla całego szeregu takich zakładów wystarcza jeden wspólny zbiornik sezonowy w górze rzeki. Poszczególne elektrownie, względnie całe ich grupy, bywają zwykle łączone ze sobą elektrycznie w ten sposób, że pracują wszystkie na wspólną sieć, gdyż w ten sposób mogą się obciążenia poszczególnych elektrowni wyrównywać i uzupełniać. Poza tym zwiększa się pewność całkowitej eksploatacji, bo w razie uszkodzenia jakiejś maszyny, czy też całej elektrowni zastępują ją sąsiednie zakłady.

ŁĄCZONE ELEKTROWNIE

Elektrownie, pracujące z dzielnością 5 do 10 tysięcy koni mechanicznych, uważane są obecnie za małe i bywają zastępowane coraz częściej wielkimi zakładami tego rodzaju, o mocy paruset tysięcy koni. Tak np. kilka poszczególnych i niezależnych od siebie elektrowni obsługujących Paryż, zastąpiono przed kilkunastu laty jedną ogromną elektrownią, o dzielności 200 tysięcy KM. Ze złączenia elektrowni ze sobą powstają ogromne sieci, obsługujące cały kraj lub jego połać. W Ameryce np. stan Montana posiada sieć o przeszło 3 tysiącach km długości, zasilaną przez kilkanaście elektrowni i obsługujących cały ten stan. Szwajcaria i Norwegia dążą również do wytworzenia ogólnokrajowej sieci, łącząc w jedną wszystkie sieci.

W prawdziwie imponujący sposób wyzyskano energię wody w wodospadzie Niagara, gdzie w jednej sekundzie spada 7.650 m sześc. wody z wysokości 49 m. Wodospad ten, wyzyskany w całości, mógłby pracować z dzielnością pięciu milionów KM. Aby zrozumieć ogrom tej liczby, wystarczy powiedzieć, że gdybyśmy się pokusili o zbudowanie maszyny parowej lub szeregu maszyn, które by były zdolne dostarczyć tylko jedną dziesiątą część tej energii, jaką wytworzyć może ten wodospad, to zużyłyby one w ciągu jednej godziny do 400 ton węgla.

O ile chodzi o wyzyskanie sił wodnych w Polsce, to elektryfikacja poczyniła tu jeszcze przed ostatnią wojną duże postępy, zwłaszcza w dzielnicy zachodniej. Największy zakład elektryczny wodny istnieje na Pomorzu, obejmując elektrownie w Żurze, Gródku i Stockim Młynie. Stąd wysyła się energię elektryczną do Grudziądza i Torunia. Elektrownia w Żurze wytwarzała przed wojną miesięcznie do 900 tysięcy kilowatgodzin.

Siły wodne naszych rzek stanowią ogromne bogactwo; uruchomienie tych sił przez budowę zakładów wodno-elektrycznych pokryłoby nasz kraj siecią przewodów elektrycznych, które jako arterie roznosiłyby do najdalszych jej zakątków tanią i życiodajną energię elektryczną.

L. [illegible]

Ulubiony przysmak Chińczyków

Gniazda jadalne

Już w starożytności używali Chińczycy jako pokarmu gniazd, budowanych przez ptaka salangana, stanowiącego przejście między jeżykiem a jaskółką. Salangana przebywa na Wyspach Zundzkich, w południowej części Indii Wschodnich i na Ceylonie.

Zwyczaj jedzenia gniazd jaskółczych przedostał się i do Europy, gdzie smakosze zwykli płacić wygórowane sumy za różne ekscentryczne pokarmy, choćby te nie koniecznie do smaku im przypadały.

Pomimo jednak, że gniazda jaskółcze od dawna już są znane w świecie cywilizowanym, sposób ich budowania, a zwłaszcza materiał na nie użyty długo pozostawał zagadką. Sądzono dawniej, że salangana zbiera na morzu jakąś substancję, z której następnie buduje gniazdo, względnie wyłapuje ikrę rybią.

Dzięki sumiennym obserwacjom przyrodników, znany jest dziś zarówno materiał użyty do budowy gniazd jaskółczych, jak i sposób jego stosowania.

Kiedy nadchodzi dla salangan pora lęgu, rozwijają się w nich gruczoły ślinowe, które wydzielają obficie lekką materię, podobną do mocnego roztworu gumy arabskiej i tak ciągłą, że nawijając na patyczek koniec wyciągniętej śliny, możemy wydobyć jednorazowo całą zawartość gruczołu. Materia ta na powietrzu krzepnie bardzo szybko i przedstawia się jako twarda, nawpół przezroczysta masa. Wrzucona do wrzątku opiera się przez parę godzin jego działaniu, po czym rośnie, mięknie, a ponownie wysuszona, staje się bardzo kruchą.

Obfitość wydzielin ślinowych jest w stosunku prostym do obfitości przyjętego pokarmu, gdyż Bernstein, jeden z najlepszych znawców tych ptaków, przekonał się na chowanych salanganach, że dobrze karmione, wydawały znacznie więcej śliny, a przeciwnie zmuszone do postu traciły zdolność sekretowania.

Salangana czepia się prostopadłej ściany skalistej, po czym przykładając do niej język, opisuje półkole, pozostawiając na skale warstwę swej śliny i w ten sposób prowadząc głową od strony prawej ku lewej i odwrotnie, nakłada jedną na drugą warstwę lepkiej materii, która szybko krzepnie na powietrzu. Ten sposób budowania uwidacznia się zresztą w gnieździe rodzajem uwarstwienia. Ukończone gniazdo ma kształt czwartej części jaja, przeciętego po wielkiej osi. Po bokach na górnej krawędzi znajdują się rozszerzenia, służące widocznie do silniejszego przymocowania gniazda do skalistej opoki.

Istnieją dwa rodzaje tych gniazd: brunatne i białe. Te ostatnie są cenione wyżej, jako świeżo zbudowane.

Głównym siedliskiem salangany i miejscem największego eksportu gniazd jaskółczych jest wyspa Jawa.

W południowej części tej wyspy znajduje się wysoki, prostopadły brzeg skalisty, u stóp którego mieści się dziewięć grot, zalewanych przez przypływ morza. Dostać się tam można jedynie spuszczając się na linie długości kilkudziesięciu metrów. Na skale znajduje się mała forteczka z garnizonem, złożonym z 25 ludzi, których celem jest tylko pilnowanie grot jaskółczych, eksploatowanych przez rząd holenderski.

Wszyscy mieszkańcy sąsiedniego miasteczka, Karany - Kallong, zajmują się wyłącznie wydobywaniem gniazd jaskółczych. Rząd holenderski w zamian za niebezpieczną pracę uwalnia ich od wszelkich podatków, lecz daje im bardzo liche wynagrodzenie.

Zbiór gniazd odbywa się trzy razy do roku, a dochód roczny z tych 9 jaskiń wynosi około pół miliona florenów.

Gniazda jaskółcze eksportuje się stąd głównie do Chin, gdzie płacą za nie bardzo wysokie ceny. Dość powiedzieć, że przed pierwszą wojną światową roczny import gniazd jaskółczych do Chin wynosił około 3 milionów rubli. Gniazda te spożywają Chińczycy w rosołach z kury lub z baraniny.

Ciekawostki ze świata

SZTUCZNE NERKI

Lekarz holenderski, dr Kolff, skonstruował aparat, mający zastępować nerki w pewnych okresach ich niedomagania. Sztuczne nerki dr. Kolffa posiadają zdolność usuwania szkodliwych substancji ubocznych z krwioobiegu.

Aparat składa się z rurki celofanowej, zanurzonej w roztworze o odpowiedniej temperaturze, zawierającym poza specjalną mieszaniną soli, także glukozę.

Pierwsze doświadczenie kliniczne wykazały niezwykłą użyteczność tego aparatu, obecnie w dalszym ciągu ulepszanego. Dzięki użyciu tych sztucznych nerek uratowano życie kilkunastu pacjentów, skazanych na niechybną zagładę.

ZANIK WIELKOLUDÓW

Ludzie, których wzrost przekracza dwa metry, należą dziś do rzadkości. Karlejemy powoli, jak to wskazują pomiary ludzi ubiegłego choćby stulecia. W tym to czasie rekordzistą był Austriak, Winkelmeier, którego wzrost 278 cm nie został dotąd przekroczony. Alzatczyk, Krwa, mierzył 275 cm, na trzecim miejscu znajdował się Czechosłowak, Hanak, o wzroście 248 cm.

W naszym stuleciu rekord w tej dziedzinie nie został dotąd pokonany. (cz)

Malaria

przestało być groźna

Wynaleziony został ostatnio nowy środek przeciwko malarii, tej strasznej chorobie, na którą cierpi czwarta część mieszkańców ziemi i która tylko w Indiach powoduje śmierć ponad miliona ludzi rocznie. Nowy środek, pod nazwą „Paludrium" został dokładnie wypróbowany, poczym przystąpiono do masowego fabrykowania tego preparatu w jednej ze szkockich fabryk. W 99 na 100 wypadków, w których zastosowano „Paludrium" chory powracał całkowicie do zdrowia. Z 3172 rekonwalescentów tylko 12 dostało ponownie ataków malarii.

W czasie wojny, gdy Europa była odcięta od Jawy, skąd przychodzi większa część chininy — dotychczas jedynego lekarstwa na malarię — chemicy zaczęli gorączkowo poszukiwać jakiegoś środka zastępczego. Podczas tych poszukiwań natrafiono na syntetyczną substancję, znaną wówczas jako „M 4888". Biolodzy stwierdzili, że substancja ta działa na żywe organizmy i unicestwia bakterie malarii. Instytut dla badań tropikalnych w Liverpoolu przystąpił do klinicznych doświadczeń. Przekonano się, że aby przerwać atak malarii wystarczy 10 do 50 mikrogramów nowego lekarstwa. Już to mówiło o niesłychanej efektywności „Paludrium" — jak została później nazwana owa substancja. Jeden gram dziennie wystarcza jako środek zapobiegawczy przeciwko malarii.

Wynalazek ten tym donioślejsze ma znaczenie, że produkcja chininy wciąż maleje. Drzewa, które dostarczają kory, służącej do wyrobu tego medykamentu, zostały w Peru wyniszczone, a nowe plantacje, w Indiach i na Jawie, nie są w stanie zaopatrzyć w pełni rynku.

Dlatego odkrycie „Paludrium" stanowi epokowej doniosłości moment w dziejach walki z tą straszną chorobą i śmiało możemy je zaliczyć do największych w naszym stuleciu.

Jan Brzoza

Ręka

Fragment powieści „Ziemia"

Jan Brzoza, laureat tegorocznej nagrody literackiej miasta Katowic, w karykaturze czeskiej Antona Tomeka. Nagrodę tę otrzymał Brzoza za całokształt swej twórczości, ze szczególnym uwzględnieniem powieści „Ziemia", której fragment zamieszczamy w niniejszym numerze.

Huczała potęga toczącej się armii jeszcze dobry tydzień. Dzień i noc szły wojska na zachód. Jechały samochody czołgi, armaty, leciały samoloty. Ludzie stawali na progach i gapili się w zdumieniu. Ile tego przejechało przez wieś, leżąca na uboczu a ile musiało przejechać głównymi liniami komunikacyjnymi. Cóżto za potęga od której nieustannie drży ziemia i niebo! Jakże marnie wyglądali teraz w oczach wsi Niemcy! Minął tydzień a w powietrzu ciągle jeszcze brzmiał nieustanny huk motorów i odór benzyny. Od samych czołgów, które przejechały przez wieś i łąkę ziemia była zryta głęboko po kolana. Gdy fala pojazdów przeszła nastąpiła cisza, od której lżej się jakoś zrobiło. Lżej było oddychać, choć powietrze ciągle było parne.

Oto przyszło wyzwolenie. Popielate dnie jakoś wysrebrzały a znękana ziemia nabierała znowu szerokiego oddechu. Strzechy zarumieniły się złocisto a bocianica klekotała radośnie. Ludzie wyprostowali się i spojrzeli na świat jasnymi oczyma. Noce znowu grały żabim d-molowym koncertem i usypiały jak dawniej, przed wojną, po ciężkiej robocie.

Hej, chrapali ludzie na cały głos. Krew zaczęła krążyć normalnie w żyłach, oczy przestały latać, ręce prężyły się do roboty. Można było głośno się śmiać, kłócić, rozmawiać śpiewać. Można było hałasować, stukać młotkami, siekierami. Zabrali się ludzie do uprzątania gruzów, naprawy drogi, chat, płotów.

Jedna tylko pozostała troska. Ostatnia bomba z samolotu spadła na plebanię, która zniknęła z powierzchni ziemi. Zabity został ksiądz i jego matka. Trzeba było odkopać zwłoki i pogrzebać je. Obowiązek ten spadał na Derkacza, a tu dzień leciał za dniem i jakoś nie można było się zebrać do tej roboty. Wstyd mu było, ale z drugiej strony tyle wypadków, tyle wrażeń. A potem to odsypianie. To też wybrał się do Bryla, aby wreszcie załatwić tę sprawę.

Bryl zajęty był klepaniem kosy. Założył do tej roboty okulary i tak głośno stukał, że nie słyszał sąsiada. Mocne uderzenie Derkacza w plecy sprawiło, że podniósł głowę i obejrzał się.

— A to wy kumie — rzekł umieszczając okulary na czole — nawet was nie zobaczyłem.

— Cóżto, na żniwa się wybieracie? — spytał Derkacz.

— A trzaby już trza. Żyto można już.

— Żyto można już — powtórzył za nim Derkacz. — Ale ja wiecie, przyszedłem do was w sprawie tego... no... księdza.

Bryl westchnął i opuścił trzymającą osełkę. Drugą poskrobał się pod kapeluszem.

— Tak. To sprawa niespora — mruknął — bez księdza będzie nam jakoś tak...

— To prawda — przerwał mu żywo Derkacz — ale ja... ale mnie o co innego chodzi. Z plebanią trza zrobić porządek.

— Eh, jaki porządek. Chyba nową wybudować, bo tam dziura tylko została.

Derkacz zniecierpliwił się takim niezrozumieniem. Chrząknął, mlasnął i przestąpił z nogi na nogę.

— E, bo to ja widzę, że z wami gadać to jak dziad z obrazem. Ja mówię wyraźnie, księdza trza wyszukać, ale najpierw nieboszczyka. Nieboszczyka wyszukać — powtórzył z naciskiem. — Pochować trza, bo jakże tak?

Bryl pokiwał głową i westchnął.

— Tak, to prawda, trzeba — mruknął.

Rozmowa się jakoś nie kleiła i po dość długim chrząkaniu, obaj gospodarze zadecydowali, że najlepiej będzie zabrać się do tej roboty zaraz. Bo potem... Bryl machnął ręką, i zdjął okulary z czoła.

— Trzeba jeszcze z parę ludzi zawołać — mruknął jeszcze raz, odnosząc kosę i osełkę do komórki.

— Pozbieramy kogo się da po drodze — zawołał za nim Derkacz.

Ruszyli milcząc w stronę plebanii. Idąc, co chwila przystawali koło płotów i przełazów wypatrując, kogoby zabrać ze sobą. — O, Wilkowa pójdzie... A Wilk to co pies?... Słuchajcie no, sąsiedzie, możebyście poszli z nami plebanię rozkopać. A tam znów Kizio czochra się i ziewa na całą mordę... Chodźcieno kumie z nami, boście się dosyć wyspali w biały dzień... A tam znowu Gajda stoi i rozmyśla... Filozof...

Idąc tak przez wieś trochę dowcipem, trochę perswazją i prośbą zebrali sporą gromadkę z łopatami, motykami, otoczoną oczywiście chmarą dzieci.

W miarę zbliżania się do miejsca wypadku cichli i poważnieli. Nawet dzieci przestały kukać się i wykrzykiwać. Te, które wybiegły naprzód, zaczęły zwalniać kroku i jakby się skradać. Chłopak na przodzie wyciągnął szyję jak bocian i nieco pochylony wprzód patrzył przed siebie szeroko otwartymi oczyma. Rozmowy umilkły zupełnie i twarze ludzkie posmutniały.

Oto jama w tym miejscu, gdzie stała plebania. Zawsze ile razy przechodzili koło tej jamy musieli stawać zdumieni. Nie mogło się w głowie pomieścić jakto się stało, że był tu obszerny dom, mieszkali w nim od niepamiętnych czasów księża a teraz niema nic. Jama. Zniknęło to wszystko w jednej sekundzie. Cóżto za bomba była, że z taką siłą zniszczyła dom i ludzi w nim żyjących. Wybuch był silny, bo od tego wybuchu zwaliła się wieża kościoła, jakby ją kto uciął. Do kościoła było strasznie wejść. Nikt się na razie nie ważył nawet.

Derkacz pierwszy ocknął się z zapatrzenia i wskazał skąd należy zacząć grzebać. Rozstawił ludzi.

Przeżegnali się i zaczęli grzebać. Łopatami, motykami, rękami grzebali wśród gruzów. — Ostróżnie grzebać, nie zabijać głęboko łopat! — przestrzegał Derkacz — żeby nie zadziabać nieboszczyka!

Wilkowa pierwsza natknęła się motyką o coś miękkiego i gdy palcami odgarnęła miał okazało się, że to ręka ludzka. Krzyknęła przeraźliwie i wszyscy zlecieli się na to miejsce. Dziesiątki rąk i palców zanurzyło się w miałkim prochu ruin. Ręce odgrzebywały gorączkowo ziemię naokoło tej ręki i nagle zaczęły cofać się a wyciągnięte palce oddalać coraz bardziej by, zasłonić przerażone twarze. To była sama dłoń. Gładka, jak odlana z wosku, żółta o długich palcach z pierścieniem na jednym z nich. Pierścień miał duży czerwony kamień, który błyszczał zdaleka.

Ludzie stali osłupieni nie wiedząc, co dalej robić. Dopiero Bryl krzyknął, aby ktoś zabrał tą rękę, bo się nie można patrzeć i wogóle dość tego gapienia się. W głosie jego znać było, stłumiony lęk.

— No, ruszże się który! — krzyknął ochrypłym głosem.

— Ty sam nie możesz — odpowiedział ktoś z gromady.

— Ja, dlaczego akurat ja? — zdziwił się Bryl.

— A bo tak pyskujecie...

— To już niech będzie, że ja — wymówiła z trudnością Wilkowa.

Wzięła rękę, podniósła się z klęczek, przez chwilę stała rozglądając się rozpaczliwie. Wreszcie poszła w tamtą stronę, koło kościoła. Wszyscy patrzyli za nią z wyciągniętymi szyjami. Mała dziewczynka, stojąca najbliżej, otworzyła usta bardzo szeroko.

Wilkowa położyła ostróżnie rękę na kamieniu i bardzo szybko wróciła do swojej roboty, do której zabrali się wszyscy z jakąś gorączkową szybkością. Kopali, grzebali — napróżno. Nie znaleźli więcej nic. Ani śladu księdza i jego matki. Wreszcie Gajda pierwszy wygramolił się z dołu i rzucił łopatą o ziemię.

— Nie będę dalej grzebał — odezwał się ze złością — co mi za niewola. Dość, słyszycie, dość mam już tego wszystkiego i tej wojny i tych trupów! Dość mam tego, słyszycie?! zaszlochał.

Potem podniósł łopatę i wlokąc ją po ziemi, poszedł. Widać było jego pochyloną postać, jak znikała poza tamtym zakrętem.

— Ano, chyba będzie dość tego grzebania — rzekł Derkacz, patrząc za oddalającym się Gajdą — nic tu już nie wygrzebiemy. Widocznie ta bomba zmieliła ich na proszek.

— Dość, dość będzie tego — powtórzyli za nim ludzie.

Poszli zbitą gromadą za Wilkową, która niosła odgrzebaną dłoń. Niosła ją na fartuchu, trzymając ostróżnie, jak coś bardzo delikatnego. Przed cmentarzem stanęli wszyscy nie wiedząc, co dalej robić.

— Najlepiej będzie zakopać tam, gdzie leżą pomordowani — doradził Derkacz.

Ruszyli w stronę wspólnej mogiły pomordowanych. Tu Derkacz przeżegnawszy się i popluwszy w ręce, wygrzebał łopatą głęboki dołek, w którym Wilkowa ostróżnie złożyła tą dłoń. Potem poklękali i zmówili chórem Ojcze nasz i Zdrowaś a głosy ich wsiąkały w poszum drzew wtórujący słowom „a światłość wiekuista".

Gdy wracali z tego dziwnego pogrzebu, Wilkowa przyczepiła się do Derkacza i drepcąc obok niego starała się go jakoś zagadać. Chłop szedł chmurny i mało zważał na kobietę. Dopiero gdy chrząknęła głośno, zatrzymał się patrząc na nią ciekawie.

— A wy co? — zapytał.

— Bo ja... bo ja chciałam wam coś powiedzieć i nie wiem... i nie wiem... — jąkała się kobieta — bo to...

— Wystękajcie już raz i będziemy mieli spokój — przerwał jej Derkacz niecierpliwie.

— Bo wiecie... to trzeba gdzieś na boku. Może zejdziemy poza figurę.

— Coto, chcecie na schadzkę ze mną? Uważajcie, bo ja choć stary, ale jary.

— E ta wam do śmiechu a mnie do płaczu.

No to chodźmy, zobaczymy co z tego będzie.

Ominęli figurę Matki Boskiej i tam poza pagórkiem usiedli na trawie. Wilkowa założyła ręce na podołku i westchnęła. Potem przełknęła ślinę najwyraźniej zabierając się do opowiadania.

— Bo to wicie nie była ręka księdza — zaczęła jednym tchem. To była ręka doktora Horna...

— Derkacz poderwał się i chwycił ją za ramię. — Co wy mówicie, Jezu! Czy to prawda?

— Puśćcie bo mnie rękę urwiecie... Tak, to był doktor Horn. Poznałam po pierścieniu na palcu. Poznałam także po całej ręce. Bo wy nie wiecie — rzekła poprawiając się — że doktor chował się cały czas u księdza. Tylko ja jedna wiedziałam z całej wsi i choć baba nie pisnęłam słówka.

— A skąd wy wiedzieliście? — zapytał Derkacz, rwąc trawę dokoła siebie.

— Ba ja, nie wiecie; akuszerka i z nieboszczykiem znaliśmy się przed wojną. To ja mu naraiłam schowanie u księdza. Głupia baba wiejska, ale czułam, że Niemcy nie bardzo będą szukać u księdza. To dlatego ksiądz był zawsze taki przestraszony. On się bał strasznie. Bał się, ale chował doktora i to było święć mu Panie dobre z jego strony. To dlatego ksiądz nieboszczyk tak się zamykał i taki był niby to odludek. A co myślicie, że doktor nieboszczyk nie ratował ludzi. Chodziłam do niego po nocach i on mnie radził, dawał lekarstwa, ale nie miał ich wiele, to mi radził ziołami leczyć. Pamiętacie świerzb? Pamiętacie nieboszkę Zosię, a Stawarzową przy porodzie. Iii, dużoby o tem gadać.

Wilkowa westchnęła i zamilkła. Patrzyli oboje przed siebie w zamyśleniu. Gdzieś skrzypiała studnia.

— A choćby teraz. To on przyszedł w nocy i opatrzył małego Jaśka Stawarzów. Poradził co mam robić i teraz chłopak się wyliże. Bez nogi i języka, ale będzie żył. Jakoś se da radę na tym świecie. Już mu spuchlizna schodzi. Będzie żył.

— Będzie żył — powtórzył Derkacz jak echo. Po chwili milczenia zadarł czapkę na tył głowy i sapnął.

— I popatrzcie, w takiej ostatniej chwili musieli zginąć. Przeklęta bomba! Przeklęty Niemiec! Bodaj z kości spadł ten Hitler! — klął przez zaciśnięte usta. Potem znowu zamilkł i sapał.

— Ale nie chodzi o to — dorzuciła Wilkowa w zamyśleniu — najwięcej mnie trapi myśl, że pochowaliśmy go na katolickim cmentarzu i jeszcze w dodatku modliliśmy się po katolicku. A on przecie był Żydem... To co teraz?

— Tak, co teraz — powtórzył. Derkacz.

Siedzieli nieruchomo, wyprostowani sztywnie, jakby zaskoczeni tą zagadką. Wreszcie Derkacz pierwszy poruszył się i sapnął.

— Co tam będziemy się martwić. Modlitwa jeszcze nikomu nie zaszkodziła a to że pochowaliśmy go na katolickim cmentarzu, o to niech się martwi ksiądz nieboszczyk, który sam go chował. Zresztą trza się będzie wyspowiadać z tego a teraz trza iść do jakiej roboty i spać spokojnie.

Z tymi słowami wstał, otrzepując spodnie. Wilkowa dźwignęła się za jego przykładem i gdy już mijali figurę szepnęła:

— Ale najlepiej będzie, żeby to zostało między nami.

— Taki sekret — rzekł Derkacz szczerząc żółte zęby.

— Bo to wicie są różni ludzie na świecie i gadaliby Bóg wie co.

— Gęba do gadania jest gorsza od gęby do jedzenia — dorzucił w formie aforyzmu Derkacz — ja ta pary z gęby nie puszczę a po was poznać, że też potraficie ten swój babski język trzymać na powrozie. Fajna z was kobieta. Nie spodziewałem się. Taka sobie niby akuszerka a tu patrzcie.

— Akuszerka musi umieć trzymać język za zębami — odpowiedziała Wilkowa.

Rozeszli się w dwie różne strony, myśląc o tym samym. O dziwnych losach ludzi dobrych w złym czasie.

Rozrywki umysłowe

54 Konkurs rozrywkowy i autorski

część II

Warunki Konkursu podaliśmy w Nr 8 Świat i Życie z dnia 22 bm.

5. REBUS — 3 pkt.
(uł. ESSE)

„ESSE"

6. LOGOGRYF BINOMICZNY - 2 pkt.
(uł. M. Oboza)

W lewą figurę należy wpisać trzyliterowe wyrazy w kratki kropkowane stosownie do podanych poniżej znaczeń. W białe kratki wpisać taki wyraz, żeby z poprzednim tworzył binom, czyli nowe słowo składające się z dwóch słów. Znaczenie tego binomu należy wpisać w prawą figurę. Litery ponumerowane, ustawione kolejno dadzą rozwiązanie.

W rozwiązaniu podać słowa zasadnicze, binomy z nich stworzone, znaczenia binomów i ostateczne rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów trzyliterowych: 1. grobla, tama, 2. papuga, 3. część umundurowania, 4. okres czasu, 5. stan ciała fizycznego 6. pierwiastek promieniotwórczy, 7. ptak o pięknym ogonie, 8. krzyk zwierzęcia.

7. ARYTMETYKA — 2 pkt.
(uł. inż. M. Orlicki)

Uczeń miał podzielić jedną liczbę przez drugą i otrzymany iloraz pomnożyć przez liczbę, której dwie trzecie równa się cztery. Uczeń nie zrozumiał i od pierwszej liczby odjął drugą, a do otrzymanej różnicy dodał dwie trzecie liczby sześć. Otrzymał odpowiedź: dziesięć, którąby miał też przy prawidłowym rozwiązaniu. Jakie dwie liczby miały być podzielone?

8. ZAGADKA — 1 pkt.
(uł. A. Rafińska)

Idzie osoba w żałobie i prowadzi syna, ten syn jest jej rodzonym synem ale ona nie jest jego rodzoną matką. Kto to był?

*

Termin nadsyłania rozwiązań powyższych zadań upływa dnia 26 marca 1948 r. Odpowiedzi prosimy nadsyłać na kartkach wymiaru karty pocztowej, czyli A 6 (10,5×14,8 cm). Podanie słów pomocniczych obowiązuje.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ z NR 6 ŚWIAT I ŻYCIE

12. **REBUS:** Nigdy nie mogą ustać starania o rozwój silnej marynarki.

13. **Semi-akrostych:** a) Emacypantki, Częstochowa, Racławice, Morcinek, Werterloo, Dziękuję, książka, Matejko, żarówka, Zagłoba, Barycz, Bunsch, Branka, Lublin, Pilica, jądro, Judym, jeż. b) A niechaj narodowie wżdy postronni znają, Iż Polacy nie gęsi, iż swój język mają. c) Mikołaj Rej.

14. **Zagadka:** Szczęście.

15. **Zadanie zegarowe:** Zakładamy: x ostatnia godzina, którą minęła strzałka krótka, y — ilość podziałek minutowych, o jaką strzałka krótka jest odległa od x. Wówczas ilość minut po ostatniej godzinie pełnej, wskazana przez strzałkę długą wynosi 5x plus y minus 2. Ponieważ strzałka długa idzie 12 razy szybciej niż strzałka krótka przejdzie ona 12 y podziałek w tym czasie, gdy strzałka krótka przejdzie y podziałek. Zatem: 12 y równa się 5 x plus y mniej 2. Stąd 11 y równa się 5 x mniej 2. Jedynym rozwiązaniem całkowitym do datnim jest x równa się 7, y równa się 3. Czyli godzina była siódma trzydzieści sześć.

Odpowiedzi Redakcji: Otwieramy dyskusję na temat zmiany dotychczasowego systemu nagradzania. Z. Czaplicki pisze: „Czy nie byłoby wskazane połowę nagród rozdzielać między mających najwięcej punktów w danym konkursie, a drugą połowę między „wytrwałych"? Prosimy o wypowiedzi.

W Konkursie Autorskim wzywamy do ułożenia krzyżówki szkieletowej 11 x 15 z jaknajmniejszą ilością czarnych pól.

»Głusi będą słyszeli«

Artykuł pod tym tytułem. zamieszczony w nr 6 dodatku „Świat i Życie" z dnia 15 bm. wywołał żywy oddźwięk wśród naszych Czytelników, dotkniętych tą ciężką chorobą. Nie mogąc odpowiedzieć na wszystkie listy z osobna, tą drogą komunikujemy, że zwróciliśmy się do autora artykułu, dra Jerzego Barskiego, naszego korespondenta z Paryża, o dodatkowe informacje, po otrzymaniu których o bliższych danych powiadomimy wszystkich zainteresowanych.

Wiosna śląskiego odrodzenia

(Dokończenie ze strony 1)

nieznajomość języka niemieckiego nie była przeszkodą w otrzymywaniu stanowisk urzędowych.

Petycję tę przedłożył ks. Szafranek 21 lipca Zgromadzeniu w Berlinie, **przemawiając ku oburzeniu całej niemieckiej prawicy w języku polskim.** Przerażeni posłowie niemieccy ze Śląska postarali się dla niego u biskupa wrocławskiego v. Diepenbrocka o zakaz zasiadania na ławach poselskich lewicy. **Ks. Szafranek usłuchał władzy duchownej w ten sposób, że zamiast siedzieć — stał przed ławami lewicy.** Gdy widział, że Zgromadzenie chce przejść do porządku nad jego wnioskiem, przedłożył niebawem drugą petycję z 2.500 podpisami z 200 gmin. Zanim jednak weszła ona pod obrady, reakcja wzięła górę i 4 grudnia król rozwiązał Zgromadzenie.

Pierwszy zw. zaw.

Działacze bytomscy nie ograniczyli się do akcji politycznej. Powołali do życia „Towarzystwo pracujących dla oświaty ludu śląskiego", na którego czele stanął Kosicki. Zorganizowało ono w krótkim czasie w szeregu miast i wsi śląskich biblioteki i czytelnie polskie. Towarzystwo to zabiegało również u władz prowincjonalnych o większe prawa dla języka polskiego. **W następnym roku Lompa i Smolka założyli jeszcze „Towarzystwo nauczycieli Polaków", pierwszy polski związek zawodowy na Śląsku.**

Niestety, wzrost sił reakcyjnych, złamanie siły oporu polskiego w Poznańskiem i wygasanie ruchów rewolucyjnych w Europie — nie pozwoliły śląskim Polakom zrealizować ich słusznych żądań.

Ostre zarządzenia i szykany represyjne położyły już wkrótce kres tak pięknie rozwijającej się prasie polskiej na Śląsku. **Redaktorów Łepkowskiego i Mierowskiego wydalono jako obcokrajowców do Austrii. Zlikwidowano świeżo powstałe towarzystwa oświatowe. Nauczyciela Smołkę, który był ich duszą, przeniesiono z Bytomia do Tarnowskich Gór, Lompę pozbawiono posady bez zaopatrzenia, a ks. Szafranek, powtórnie wybrany posłem w 1849 r., nic już nie zdołał zdziałać i wycofał się z życia politycznego.**

Skutki przebudzenia

„Wiosna Ludów" na Śląsku nie przeszła jednak bez śladu. **Zniosła przede wszystkim pańszczyznę w ostatnim zakątku Prus — regencji opolskiej.** Stworzyła podstawę dla dalszych wysiłków, podejmowanych w obronie języka polskiego przez dwóch mężów opatrznościowych ziemi śląskiej: Kosickiego i ks. Bernarda Bogedaina, radcę szkolnego regencji opolskiej, który już jako członek Izby Wyższej Zgromadzenia popierał petycję Szafranka.

Bogaty Kosicki mógł sobie pozwolić na wydawanie własnym kosztem w Piekarach „Poradnika dla ludu górnośląskiego", redagowanego przez Lompę, który rozsyłano bezpłatnie po gminach. Uporczywymi zabiegami wyjednał nadto u rządu pruskiego wydawanie polskiego dodatku do „Dziennika Urzędowego" regencji opolskiej.

Ks. Bogedain — choć sam niemieckiego pochodzenia — wymagał od nauczycieli dobrej znajomości języka polskiego, a zorganizowane przez niego polskie szkolnictwo ludowe przetrwało aż do r. 1872. Wydawał też „Gazetę polską dla ludu polskiego", polskie książki i śpiewniki.

Dzięki tym wysiłkom świadomość narodowa Ślązaków, rozbudzona ożywczym tchnieniem „Wiosny Ludów" rozwijała się i krzepła nadal. Podczas „walki kulturalnej" wodzem ich duchowym był Karol Miarka, przez ks. Bogedaina „odkryty". Proces dziejowy nie dał się już zatrzymać.

Śląsk dążył odtąd zdecydowanie ku Polsce, choć jej jeszcze nie było na mapie. Dzieło, podjęte w Bytomiu w 1848 r., do szczęśliwego końca doprowadził dopiero Wojciech Korfanty trudem całego życia i krwią śląskich powstańców.

Kazimierz Gołba

Ślady polskości na Libanie

Uniwersytet św. Józefa w Bejrucie

Żywym ogniskiem wiedzy i kultury, promieniującym na cały Bliski Wschód jest Uniwersytet św. Józefa w Bejrucie. Jest to prawdziwe źródło nauki zachodnio - europejskiej w krajach muzułmańskich. Od lat kilkudziesięciu — podobnie jak niegdyś Akademia Krakowska w odniesieniu do środkowo - zachodniej Europy — uniwersytet bejrucki ściąga licznie młodzież studiującą, nie tylko z Libanu i Syrii, ale i z Persji, Iraku, właściwej Arabii, Egiptu a nawet z odległych Indii. Synowie wymienionych narodów do rodzimego wykształcenia dołączają tutaj przyprawę i ostateczny szlif nauki zachodniej z jej ścisłością i metodycznością.

„Kullijat Mar Jusef“ (oficjalna nazwa arabska Uniwersytetu św. Józefa) jest dumą nie tylko arabskich katolików Libanu, ale w dużej mierze i nas, Polaków. Bowiem założycielem tej świetnej wyższej uczelni na Libanie był rodak nasz, O. Maksymilian Ryłło, jezuita i słynny misjonarz na Wschodzie. Był to człowiek o niezwykłej inteligencji, żywym temperamencie i staropolskiej fantazji z przymieszką romantyzmu, oraz niezmordowanej pracowitości.

Maksymilian Stanisław Ryłło urodził się w Podorosku (powiat wołkowyski) w 1802 r. Zdobywszy wyższe wykształcenie w Akademii Jezuickiej w Połocku i z kolei w Uniwersytecie Wileńskim, udał się do Rzymu, gdzie uzupełnił je studiami teologicznymi. — Tam też otrzymał święcenia kapłańskie. W r. 1836 udał się ks. Ryłło do Bejrutu, wysłany tam przez swe władze, dla rozwinięcia działalności misyjnej. Podróż tę zmuszony był odbyć w przebraniu libańskim i pod zmienionym nazwiskiem, aby uniknąć nieprzyjemności, jakie w tym czasie (po roku 1831) rządy państw stawiały emigrantom polskim.

W Bejrucie powziął O. Ryłło śmiałą myśl założenia „kolegium



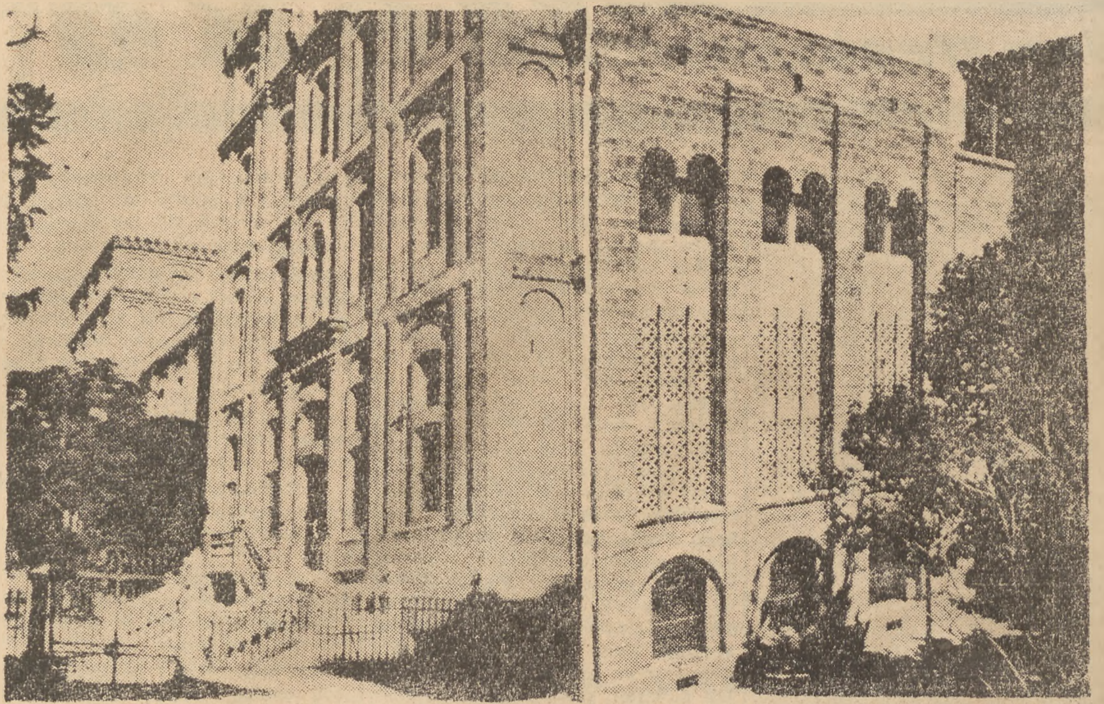
O. Maksymilian Ryłło, w malowniczym stroju arabskim (Według litografii Ludwika Bulewskiego.)

azjatyckiego“, — zakładu naukowego, który by kształcił młodzież „Persji, Armenii, Arabii, Mezopotamii i Indii po tej stronie Gangesu“. Stolica Apostolska, widząc w przyszłym „Collegium Asiaticum“ poważnego konkurenta dla podobnego typu „Collegium Urbanum“ w Rzymie, w pierwszej chwili odrzuciła niezwykły projekt polskiego misjonarza. Nadzwyczajna jednak energia, upór i nieustępliwość oraz osobista audiencja u ówczesnego Papieża, Grzegorza XVI, doprowadziły w końcu do zatwierdzenia projektu.

Nie był to jeszcze koniec trudności. Przyjechawszy po raz drugi do Bejrutu, zastał O. Ryłło niesłychanie trudne i skomplikowane warunki polityczne i wyznaniowe w całej Syrii z Libanem. Pokonał je wszystkie ten „człowiek nie do uwierzenia“. — jak o nim mówiono — i w **r. 1841 zakład naukowy pod włoską nazwą „Collegio Asiatico di Beirut“ stał się faktem dokonanym.**

Niestety, Francja, zazdrosna o swe wpływy w krajach muzułmańskich, popierała niedwuznacznie własnych księży. **Wzrastająca popularność jezuity - Polaka u ludności Libanu i Syrii, stała się przysłowiową solą w oku władz francuskich. Ostatecznie zdecydowana interwencja konsula francuskiego w Bejrucie u odpowiednich czynników spowodowała odwołanie O. Ryłły z Libanu, ku wielkiemu żalowi ludności tubylczej.**

„Kolegium Azjatyckie“ stało już jednak mocno i rozwijało się dalej na podziw. Kierownictwo zakładu po O. Rylle objął naturalnie Francuz, O. Benedykt Planchet. W r. 1834 kolegium zostało na lat kilkadziesiąt przeniesione do niedalekiego Ghaziru, pod zmienioną nieco nazwą „Kolegium św. Józefa“. Z biegiem lat zakład stawał się coraz bardziej „francuski“. Po jakimś czasie okazał się za szczupły i nie wystarczający na rosnące potrzeby. Młodzież napływała ze wszystkich stron, rozsadzając mury zakładu. Gdy amerykańscy protestanci założyli w Bejrucie szkołę średnią, nazwawszy ją propagandowo „uniwersytetem“, zdecydowano się ostatecznie na wybudowanie obecnego gmachu uniwersyteckiego w Bejrucie. W r. 1875 konwikt ghazirski został do tego gmachu wprowadzony i otrzymał dzisiejszą nazwę „Uniwersytetu św. Józefa“ z językiem wykładowym francuskim (w miejsce projektowanego przez Ryłłę włoskiego). Stąd popularna nazwa „francuskiego“ uniwersytetu w Bejrucie. Obecnie wykłada się w nim w języku francuskim i arabskim.



Główne wejście do Uniwersytetu św. Józefa w Bejrucie. Gmach Biblioteki Orientalnej przy Uniwersytecie.

Zdjęcia autora artykułu

O. Maksymilian Ryłło w tym czasie już nie żył. Zmarł w Chartumie w Afryce w 1848 r. Doczesne jego szczątki przeniesiono do Kairu, gdzie dotąd spoczywają.

Dzisiaj Uniwersytet św. Józefa jest instytucją bardzo rozbudowaną. Obejmuje m. in. wydziały: filozoficzny, teologiczny, medyczny, farmaceutyczny, chemiczny, prawny, położnictwa, instytut przeciwrakowy itd. Uniwersytet posiada też imponującą Bibliotekę Orientalną, liczącą około 100 tysięcy dzieł naukowych. Świetne publikacje naukowe i popularno - naukowe drukuje uniwersytet we własnej, nowocześnie urządzonej drukarni (Imprimérie catholique). „Kullijat“ zasłynął nazwiskami znakomitych orientalistów, choćby wymienić z dawniejszych O. Lammensa, a z dzisiejszych archeologa O. Réné Mouterde'a.

Dzisiaj mało kto nie tylko z Libańczyków, (Francuzi mówią o tym niechętnie) ale i spośród nas wie o polskim pochodzeniu Uniwersytetu św. Józefa w Bejrucie. A trzeba o tym wiedzieć i innym to przypominać. Bowiem uniwersytet ten, to nie tylko mocny węzeł kulturalny łączący Polskę i Liban, ale i widomy dowód, że nie byliśmy jedynie odbiorcami ze skarbca wiedzy ogólnoludzkiej, ale i rewanżowaliśmy się ludzkości na polu nauki i kultury.

Franciszek Machalski.

EKRAN



Leslie Howard, reżyser i doskonały odtwórca tytułowej roli w filmie produkcji amerykańskiej „Pygmalion“.

„Pygmalion“

Widocznie Katowice wstąpiły w znak G. B. Shawa, mówiąc językiem astronomów. W teatrze Shaw, na ekranie Shaw, jednym słowem uczymy się tej Anglii, co prawda, nie w ten sposób, w jaki życzyli by sobie sami Anglicy. Ale za to poznajemy ich dokładnie i bez obsłonek. Bo G. B. Shaw bynajmniej się nie krępuje w wyrażaniu opinii o swych rodakach.

Mowa tym razem o „Pygmalionie“. Film ten, produkcji angielskiej, reżyserowany przez Leslie Howarda (poza tym odtwórcę tytułowej roli), wywiązuje się jak najlepiej ze swojego trudnego zadania, polegającego na przetłumaczeniu na język filmowy, język ruchu — błyskotliwych dialogów niepoprawnego weredyka. Eksperyment się udał: Shaw pozostał na ekranie sobą, w tym sensie, że nie spłycono jego zamierzeń, a tam, gdzie element kinowy musiał ubarwić czy wzbogacić tekst (choć zdanie to w odniesieniu do Shawa brzmi jak herezja) — tam uczyniono to w sposób tak przyjemny dla mistrza, tak pełen kurtuazji, że całość jedynie na tym zyskała.

Leslie Howard w roli profesora Higginsa jest stanowczo kongenialny z autorem. Trudno wyobrazić sobie lepszego entuzjastę naukowca, który opętany szlachetną wizją twórczą, nie ma czasu na takie drobnostki, jak szacunek dla społeczeństwa, czy miłość do kobiety. Swoim drobnym, nerwowym krokiem przechodzi obok życia, zatrzymując się tylko dla sprawdzenia jakiegoś interesującego naukowo zjawiska, lub dla zanotowania ciekawej myśli. Może wtedy padać deszcz, może płakać dziewczyna, może sam wpaść pod przejeżdżający autobus — nic jednak nie wpłynie na wartość uwagi wpisywanej w tym momencie do podręcznego notatnika. — Taki właśnie jest Higgins. I takiego to Higginsa pokazał nam Howard.

Co prawda kogoś wreszcie zaczął dostrzegać zwariowany profesor. Eliza Doolittle nie jest cyfrą, nie jest sprawdzianem najbardziej nawet naukowych teorii. Eliza nie ma i nie chce mieć nic wspólnego z teoriami. Jest żywym człowiekiem i właśnie ona zmusi Higginsa do poddania się. Będzie się jeszcze ciskał, będzie zrzędził i dąsał, ale zwycięstwo należy już do umorusanej kwiaciarki z londyńskiego przedmieścia. Nauka kapituluje przed życiem. Zresztą przyznać trzeba, że bardzo jej z tą kapitulacją do twarzy.

Trudną rolę Elizy wzięła na siebie Wendy Hiller, aktorka, odznaczająca się dużą ekspresją i dość niespodziewanym, jak na Anglików, temperamentem.

W sumie — film bardzo artystycznie udany.

Przy okazji zwracamy uwagę na prześliczną krótkometrażową kolorową kreskówkę radziecką pt. „Wiosna“. Nabiera ona specjalnej aktualności zwłaszcza na tle zimy. *Allan*

Album filatelisty

Początek właściwych zbiorów

Jak początkujący filatelista zakłada swój zbiór i skąd bierze znaczki?

Początek jest prawie wszędzie jednakowy. Przegląda starą, rodzinną korespondencję, przede wszystkim listy i widokówki zza granicy, wycinając bez ceremonii wszystkie znaczki. Wycina je starannie, a ponieważ nie posiada jeszcze albumu, chowa marki w pudełku lub kopertach. Teraz już pilnie bada, czy do domu nie przyszedł jakiś list. Z najnowszymi znaczkami obiegowymi postępuje tak samo. Już wie, że szukać należy przede wszystkim znaczków o wysokiej wartości nominalnej i znaczków okolicznościowych. Podwójne znaczki też mają swoją cenę — można je wymienić z kolegami w szkole. Zalążek zbioru już jest gotów.

Najmilszym prezentem dla młodego filatelisty w tym okresie będzie — gdy zajdą jakieś sprzyjające okoliczności: imieniny, św. Mikołaj itd. — pakiet „200 różnych znaczków“. Kosztują niewiele, a sprawiają dużo przyjemności. Następnym etapem powinno być przystąpienie do sekcji młodzieżowej przy jakimś Stowarzyszeniu Filatelistycznym, istniejącym w każdym mieście wojewódzkim.

Teraz należało by się postarać o katalog znaczków. Nic nie szkodzi, jeśli będzie sprzed sześciu lat, albo jeszcze starszy. Nauczyć się z niego można dużo, bo jest w nim nzbierana olbrzymia ilość wiedzy. Postępy nie tylko w filatelistyce, ale i geografii będą zadziwiające. Szybko też młody zbieracz oswoi się z fachowymi wyrażeniami. Nawet dla niefilatelisty studiowanie katalogu, jego wiadomości statystycznych i różnych opisów, będzie niezmiernie ciekawą lekturą.



Poczta polska wydała nowy znaczek dwuzłotowy, z dopłatą 18 zł z podobizną brata Alberta. Dopłata przeznaczona jest na zasilenie funduszu Pomocy Zimowej. Okolicznościowy znaczek, z okazji „Dnia oszczędności“ wydała również Rumunia. Kolor fioletowo-karminowy, cena 12 lei. Na Węgrzech z okazji „Dnia oszczędności“ ukazały się dwa nowe znaczki: 40 f. w kolorze ciemno lila/jasno lila, 60 f. różowoczerwony/czerwony.

W międzyczasie znaczków zebrało się już tyle, że przechowywanie ich w pudełku staje się zbyt skomplikowane. Konieczny już jest teraz album. I od tej chwili zaczyna się właściwe zbieranie.

Album zaczyna się powoli zapełniać. Grono znajomych rodziców też co jakiś czas przyniesie jakiś znaczek z listu, przysłanego zza granicy. Młody filatelista ma już teraz tyle znaczków, że może nawet wspaniałomyślnie podarować kilka mniej ciekawych egzemplarzy swemu przyjacielowi, który dopiero zaczyna zbierać. Staje się już oszczędny i przezorny. Drobne kwoty, które dostaje od rodziców, już nie wydaje na łakocie, lecz składa na nowe serie znaczków, które się już ukazały, a których nie ma w swoim zbiorze.

Ostatnie nowości

Poczta polska zamierza wydać nową serię znaczków lotniczych. Rozpisany został już konkurs na projekt tych znaczków.

W najbliższym czasie ma się ukazać bloczek z 8 znaczków serii kulturalnej, z podobiznami sławnych Polaków. Znaczki w bloczku będą w innych kolorach niż poprzednie. Cena bloczku — 500 zł.

Poradnik fotoamatora

„Śnieżne“ zdjęcia

Spadł śnieg, w tym sezonie pierwszy raz obfity. Wywołał poruszenie żywą radość wśród wielbicieli białego sportu. Powinien również zainteresować fotoamatorów, choćby z tej racji, że nawet po najbardziej udanej wycieczce, nie utrwalonej kamerą, pozostaną tylko wspomnienia, które zatrą się z biegiem czasu.

Biały śnieg. Czy naprawdę? Czy ktoś wogóle ośmieliłby się zakwestionować jego kolor? I autor tego artykułu kiedyś dostrzegł w nim tylko jego biel. Ale to było kiedyś, kiedy już wprawdzie miał aparat, ale jeszcze nie wiedział o fotogeniczności śniegu. Po pierwszym zdjęciu zimowym, którego motywem był śnieg, zmienił zdanie. Śnieg jest nietylko biały. Spojrzyjcie nań o wschodzie słońca. Czy zobaczymy biel na śniegu?

Powie może ktoś, że promienie wschodzącego lub zachodzącego słońca zapalają krwawą pożogą nie tylko śnieg ale wszystko, co w swej wędrówce napotykają. W takim razie spojrzyjcie na śnieg w południe, ale popatrzcie umiejętnie. Stańcie z waszą kamerą pod światło, a zobaczycie całą gamę barw, skrzącą się w kryształach śniegu. Spowity śniegiem niepozorny krzaczek, rzeczułka, mostek lub kładka, dadzą fantastyczne bogactwo wdzięcznych motywów.

A teraz kilka porad technicznych. Materiał negatywowy — możliwie panchromatyczny i obowiązkowo filtr — najodpowiedniejszy jasno - żółty. Fotografować pod światło gdyż tylko w tym wypadku osiąga się bogactwo światło — cieni oraz plastykę. Należy tylko uważać, by światło słoneczne nie wpadało bezpośrednio w obiektyw, gdyż spowoduje to naświetlenie błony w aparacie. W tym celu posługujemy się osłonami przeciwodblaskowymi (słońcochron). Ze względu na trudności nabycia oraz niemożności zastosowania ich w tańszych aparatach, należy aparat w czasie fotografowania ustawić w ten sposób, ażeby cień rzucony z góry, padł na obiektyw. Cień ten może dać drzewo, rosnące obok, kapelusz towarzysza, a w razie ich braku można sobie pomóc w ten sposób, aparat ustawiamy na statywie i ręką rzucamy cień na obiektyw.

Spadł śnieg. Korzystajcie z okazji ruszajcie na „połów“ śnieżnych motywów. Podzielcie się z nami wynikami pracy, a udane zdjęcia umieścimy w naszym „poradniku“.



„Lądek-Zdrój“. Elmar 5 cm przesłona 9, luty, godzina 13, film Superpan, 19 din, filtr żółty nr 2, 1/100 sek.



„Śnieżne gody“. Zdjęcie wykonane w identycznych warunkach, co zamieszczone obok.

Fot. Sim